

Męskie malunki

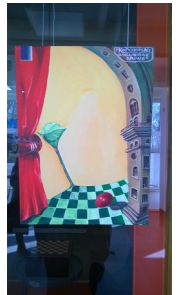
Zagubiłem książkę. Nic specjalnego, „Gorgiasza” Platona w przekładzie Władysława Witwickiego. Gdzieś się zapodziała. I musiałem suto się tłumaczyć w bibliotece. Szczególnie, że tę książkę już raz wypożyczałem w 1982 roku. Zapłaciłem i karę i za tę książkę. Protokół przestępstwa mam. Mi nie szkoda, dla mnie to opłata abonamentowa.

Żyjemy w szczęśliwych czasach. Są darmowe biblioteki, zwane dawniej czytelniami ludowymi. Bolesław Prus opisywał w 1895 roku, że wtedy bibliotek było tyle co na lekarstwo i w większości abonamentowane i to w rublach srebrem. A dziś, proszę bardzo, darmo i ludziska nie lgną do czytania. A dawniej, jak było te dwieście książek w takiej czytelnii ludowej, to ludność rozebrała wszystko do cna i byli tacy, co odeszli z kwitkiem. Czyli bez niczego. Taki był pęd do czytelnictwa. Ale nie opowiadajmy bujdów, bo nam jeszcze nikt w to nie uwierzy.



Jeden kolega, który obiecał dostarczać zdjęcia do artykułów, pojechał do Budapesztu a stamtąd do Belgradu. Dwie stolice europejskie. I nie ma żadnego ciekawego zdjęcia, pokazującego kulturę tych krajów. Ogólna obrona rosofilstwa. I tak szczęście, że żaden rusofob go nie zaciukał w tym Budapeszcie. Albo jakiś na różowo przebrany jegomość, co robił pewnie za bezę. Albo jest ubrany w barwy ochronne na wojnę, aby schronić się w najbliższej cukierni przed snajperami.

Drugi poleciał na Srilankę. Tam go zanosły podniebne anioły ze stopów lotniczych i kompozytów. Miał mi herbatę cejlońską z tego Cejlonu przywieźć. I nasi sojusznicy Amerykanie zbombardowali Iran, który zamiast przerobić w sojusznika Zachodu, zrobił się hardym zwolennikiem jakiegoś obcego dla Persów kultu. I mały Izrael też utracił swoje pięć groszy. Samoloty nie latały i kolega z małżonką zostali na dodatkowe dwa tygodnie wczasów. Dziś w końcu dotarł do Europy i poprzez napoleońską twierdzę Modlin dotrze zapewne niebawem do domu. Ponoć książkę ma pisać z tej eskapady i o tym, co widział i słyszał, i czuł.



A ja łażę po wystawach od przypadku do przypadku. Zrobiliśmy po samej Polsce w tym czasie przeszło trzy tysiące kilometrów przeróżnymi środkami lokomocji. Lekko jesteśmy poobdzierani od tych eskapad. Tamci zaliczają wojaże po Świecie a my tu po kraju nad Wisłą i Odrą. O tym jednak nie będę pisał, bo i tak nikt nie przeczyta tego, gdyż lud dzisiaj nie czyta. Po co mu czytanie. Lepsze są obrazki. I po tych wyprawach spadliśmy na cztery łapy w Koszalinie. W Bibliotece Miejskiej. A tu wystawa. Malarstwa maskulinistycznego. Opiszemy kilka dziełek.

Niejaki Dariusz Plasota raczy nas widokiem dwu trupów z widelcami i nożami mających zapewne zasadzić się na stojącą na stole świnkę, aby ją bezapelacyjnie pożreć. To zapewne jakaś trawestacja powiedzenia chrystusowego o rzucaniu pereł przed wieprze. Tu można by to tak skwitować: Nie rzucaj świni przed perły elokwencji malarza. Cóż za kolorystyka rodem z domu pogrzebowego, jakby dwaj bohaterowie francuskiej komedii, dodajmy, że filmowej, jechali na łysa prosto do świni. Od razu widać wzrost kultury noża i widelca w wydaniu tego autora.

I dalej kolejny malunek Piotra Adamczyka, gdzie cała zaprzeszła menażeria sterczy z obrazu jak ośle uszy. Pajacyki i króliki w anturazie z epoki Prusa. Coś to zapewne przedstawia, ale my nie wiemy co i idzie-

my dalej. A tu Marek Kopczyński wymalował nam cóż to takiego. Nieuprawne oko zagubionego odbiorcy widzi łuki romańskie, tryumfy i przemarsze rzymskich legionów albo co najmniej legii Napoleona Bonaparte. A dobrze przyjrzawszy się, uidać łono kobiety z listkiem zamiast przyrodzonego owłosienia, dziś tak zakazanego przez nasze mody totalne. I krągłości łuku rodem z Rzymu stają się krągłościami jakiejś niewiadomej damy, która wyłoniła się z za czerwonej kotarki.

A dalej co? A tu praca Janusza Skowrona, która jest zagubioną na przestworzu oceanu laicyzmu arką chrześcijaństwa z wymalowanym krzyżem wiary brnącym po tym bezkresnym przestworzu ludzkiej pychy i arogancji. Poszarpana i obdarta ze skóry wizja. Żółto-zielonkawie niebo na morzu krwi ludzkiego rozumu używanego jako zapchajdziura postępu.

I na koniec Wal Jarosz, tytułowy splendor tej wystawki. Jego praca zdobi wszak plakat przywołujący tu nieczytającego widza, by chociaż tak zakosztował sztuki wyższej nieco niż sztuka mięsa. I tu stoją dwa konie. Pysk w pysk. Jakby dwa konie wprost spod Troi w swych statycznych pozach. Można rzec, dwa trojany. Jeden trojan zgodnie z modą współczesnej inwigilacji sztucznej inteligencji inwigilujące się wzajem, żeby nie być zbyt głośnym i nie nadużyć słowa, penetrujące swoje zasoby.

I to ma być męskie? A może ja jednak powinienem pokonać też trochę więcej tysięcy kilometrów po tym leż padole, by zauważyć w tym jakąś męskość? Może powinienem zaangażować się w obronę Rosji alby walkę z Rosją. Albo wracać z Persji przez Izrael i Niemcy, by zauważyć znowu wyższość ich kultury i cywilizacji. Nie bądźmy malkontentami. Tacy się tu starają. Mażą akrylem po płótnie. Robią ślady, jakby kto ponownie odkopał Knossos albo co najmniej warsztat Fidiasza w Atenach. Czyta na kubku wygrzebanym z rumowiska „Fidias”. I już wie, że jest w Europie. A tu malunki takie, że ho ho.



Nasza wycieczka w nieznanne się skończyła. Herbata dopita. Tekst niemal na ukończeniu. I nagle się okazało, że książka zaginiona ponoć w sążnistych wypadach po kraju, leży sobie tu i nagle się odnalazła. Będzie gdzie wsadzić ten protokół sporządzony przez aż trzy panie z biblioteki. Grzecznie kasujące abonament jak za czasów naszych praprapradziadów. I już nie musimy oglądać żadnego malarstwa. Zwyczajnie sobie poczytamy.

Z Bogiem.

Andrzej Marek Hendzel